

Wspomnienia o Sybirze

Czapnik Stanisława

Motto – Czy milczenie jest złote? Jak było można milczeć przez wszystkie powojenne lata, przez pół wieku. Nie wydać z siebie tego co ciąży w sercu, zalega w całym mózgu, paraliżuje cały ludzki system.

Urodziłam się w woj. warszawskim. Moi rodzice w 1920 r. kupili ziemię na Polesiu. Dzieciństwo i młodość spędziłam na pięknym Polesiu. Wyszłam tam za mąż w 1935 r za Jana Czapnika osadnika z woj. łódzkiego. Do wojny w 1939 r. dorobiliśmy się samodzielnego gospodarstwa, mieliśmy dwoje dzieci. Postawiliśmy nowy dom, hodowaliśmy ogiery dla wojska. Mieliśmy wszystko co człowiekowi do życia jest potrzebne. Gospodarstwo było duże, uchodziliśmy za ludzi zamożnych. I nagle przyszedł ten jedyny, koszmarny dzień, który pomimo, że upłynęło tyle lat wspominam ze łzą w oku i gęsią skórą na całym ciele.

W niejedną noc śnił mi się ten dzień i nie zapomnę go do końca swojego życia. 10 lutego 1940 r o północy wjechały trzy podwozy na nasze podwórze. Było to ruskie wojsko. W tę noc był mróz 20 C, szalała zamieć, śnieg był na dwa metry. Na odległość jednego metra nic nie można było zobaczyć. Wojsko obstawiło okna i drzwi. Karabinami zaczęli walić w drzwi, żeby otworzyć. Wyrwani ze snu, przerażeni w popłochu ubieraliśmy się w to co było pod ręką. Wojsko ruskie zaczęło przeprowadzać rewizję. Zabrali nam dowody tożsamości, książeczki oszczędnościowe, pieniądze w złocie i srebrze. Męża, który stawiał opór wyprowadzili na podwórze, koło studni i chcieli rozstrzelać. Ublagała ich jego matka przekupując wojsko workiem tabaki.

Zdażyłam zabrać jedną pierzynę w która otuliłam swoje maleńkie dzieci – trzyletnią i roczną córeczkę. Mąż zdażył zabrać chleb i mleko. Chciałam pójść wydoić krowy aby mieć więcej mleka dla dzieci lecz dostałam kolbą po głowie. Wrzucono nas na sanie. Ja głodna płakałam, mąż przeklinał. Zwierzęta wszystkie były na łańcuchach, nie wiem co się z nimi stało. Najbiedniejsze były psy, które śmiercią głodową zdechły, przywiązane do swoich bud, bo wierne gospodarzowi nie dopuściły ludzi obcych do siebie.

Pół przytomni z zimna i nieludzkiej rozpaczcy zostaliśmy przewiezieni do ruskiej wsi. Tam spędzili wszystkich osadników ze wsi Ogólce gmina Różanna, powiat Kosów. Tam na podłodze bez wody i żadnego pożywienia siedzieliśmy zamknięci dwie doby. Następnie zapakowano nas ponownie na sanie. Wieźli nas 40 km do stacji. Na stacji Owaczewicze zapakowali nas do bydłych wagonów. W naszym wagonie było 50 osób nie licząc dzieci. Wagon był zimny. Na ścianach był osadzony biały szron.

W górze było małe zamarznięte okienko. W kącie była wyrębana dziura, gdzie się załatwialiśmy. Spaliśmy w ubraniach, w tych samych w które ubraliśmy się tamtej koszarnej nocy. Ja karmiłam piersią moje dwie córeczki. Wieźli nas przez lasy katyńskie, koło Smoleńska. W wagonie działy się rzeczy straszne. Dzieci zaczęły chorować, słabsi zaczęli umierać. Z trupem trzeba było nieraz spędzić i 20 godzin, ponieważ raz na dobę tylko otwierano wagon. Każdy był doprowadzony do czarnej rozpaczcy. Ludzie wyli, płakali, modlili się i przeklinali. Każdy miał gorączkę, słyhać było jęk, głośny kaszel i pociąganie nosem.

Raz na dobę ruskie wojsko uzbrojone w karabiny z bagnetami otwierało wagon, wyrzucano wśród nieludzkich krzyków żyjących kogoś z rodziny, kto zmarł.

Podawano nam jeno wiadro zimnej wody oraz po pajdzie chleba. Tak w strasznych, wprost nieludzkich warunkach jechaliśmy cały miesiąc do stacji Homogorka. Z Homogorki wieźli nas saniami przez rzekę, bo dróg w lesie nie było. Odpoczywaliśmy w lesie pod gołym niebem. Jeden koło drugiego ściśnięci do kupy. Tak nie jedna noc mroźną i śnieżną przespaliśmy.

Celem naszej tułaczki był posesłek Szubunia, rejon Berezniak, obłaść Archangielsk. Było tam przez trzy miesiące widno a potem ciągle był mrok.

Tam zamieszkaliśmy w drewnianych barakach. Pod maleńkimi oknami były ustawione drewniane prycze, w kącie stał maleńki piecyk. Drwa do niego trzeba było samemu sobie przygotować. Wszyscy ludzie w wieku od 16 do 70 lat zostali spisani przez komendanta. O ucieczce nie było mowy, dookoła był gęsty las a w nim leżał 2 metrowy śnieg. Tam oznajmiono nam, że przyjechaliśmy na przymusowe roboty. Wywieziono wszystkich zdolnych do pracy, 10 km od baraków. Pracowaliśmy przy wyrębie drzewa. Norma dla kobiet wynosiła 15 m³ a dla mężczyzn 18 m³. Podzielono nas na zespoły. Jeżeli ktoś nie wyrobił normy wtedy nie otrzymywał dodatkowej porcji chleba. O pieniądzach za prace żadnej mowy nie było, zresztą nie było żadnego sklepu aby je wydać. Każdy dostawał starannie wyostrzona siekiere i piłę. Po zakończonej pracy, która trwała 12 godzin narzędzia oddawało się do ostrzenia. Byliśmy ciągle poganiani, trzeba było być w ciągłym ruchu, bo mróz był duży. W powietrzu ślina zamarzała.

Ruscy, którzy nas pilnowali drwili z nas, byli dla nas okrutni. Mieliśmy jeden tylko odpoczynek aby napić się gorącej wody. Kobiety takie jak ja zgubiły okres, dzieci na Sybirze się nie rodziły. Ubrani byliśmy w kufajki, spodnie, walonki i czapki. Z rękawicami było różnie. Było dużo wypadków śmiertelnych. Przewracające się stare drzewa ciągle zabijały słabych, zgłodniałych ludzi. Niektórzy sami nie wytrzymywali takiego życia i wybierali śmierć.

Jak ktoś zmarł, to grzebano go nago w śniegu. Ubranie nieboszczyka natychmiast było rozdawane innym ludziom. Chłopcy po 14, 15 lat byli zatrudnieni przy malowaniu na drzewie kresiek. Każdego dnia sprawdzano czy norma jest wyrobiona. Z moimi małymi dziećmi pozostała stara teściowa. Jak chciałam się zobaczyć z nimi, to po skończonej pracy biegłam przez las 8 km, po pas w śniegu, po prostu uciekałam. Znaczyłam gałęziami sobie drogę. Gdy mnie złapano to dostawałam karę specjalną. Jedną z takich kar było stanie przy drzewie. A zważywszy że mróz dochodził do 50 C kara ta oznaczała zamarznięcie. Dzieci moje pozostawione z teściową, których legalnie nie mogłam odwiedzać, zaczęły chorować. Starsze dziecko ciężko zachorowało z głodu. Raz na dzień dawano im zupę i chleb. Nieraz ruskie kobiety, które tam były na zsyłce coś do jedzenia dziecku dały.

Spotkałam tam ludzi, którzy byli odcięci od świata, nie wiedzieli że się toczy II wojna światowa. Siedzieli tam jeszcze zesłani za czasów carskich.

Dziecko moje dostało wysokiej gorączki, brzuch zrobił się duży z głodu. Gdy się dowiedziałam, że dziecko moje umiera uciekałam z lasu do baraku. Nie było żadnego lekarza i ratunku. Umarło z głodu. Podzieliło los innych polskich dzieci i leży w ziemi na dalekiej Syberii. Mojej siostrze Marii Kołodziejkiej zmarło w tym czasie 6 dzieci w wieku od 4 do 12 lat. Wszystkie umierały na jej rękach i wszystkie umarły z głodu. Trzeba sobie wyobrazić rozpacz matki, które z głodu, na rękach umiera własne dziecko.

Dostałam szoku, przyjechało po mnie NKWD i pod sad, że dobrowolnie opuściłam prace. Za karę nie mogłam przez 3 miesiące widzieć się z moja młodszą córką, o którą się teraz podwójnie bałam, że też umrze. Musiałam meldować się co 4 godziny, nie dostawałam chleba, enkawudzista nie jeden raz napluł mi w twarz lub kopnął w tyłek przy meldunku. Codziennie ktoś umierał, to było piekło na ziemi.

Tak żyliśmy i pracowaliśmy 2.5 roku. Męża przycisnęło drzewo i odwieźli go do szpitala, bo zrobiło im się żal rosnącego chłopca. Tam do rąk jego trafiła gazeta rуска, w której pisano, że w Tocku organizuje się Armia Polska. Gdy wyszedł ze szpitala pokazał chłopcom tę gazetę i podburzył całą Szubunię. Wszyscy rzucili siekiery, zdjęli czapki z głowy i zaczęli głośno śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Rosjanie zbaranieli i zaczęli się dopytywać co się stało, ogarnął ich strach. Mąż mój wystąpił oznajmiając że wstępuje na ochotnika do Armii Polskiej a za nim wszyscy. Został pobity i aresztowany wraz ze swoim młodszym bratem. Trzymali go w ciężkim więzieniu, aż w Archangielsku. Brat Walenty Czapnik zginął śmiercią głodową mając 25 lat w więzieniu w Archangielsku.

Mąż domagał się śpiewając hymn narodowy widzenia z prokuratorem. Przez zwykły przypadek prokurator przechodząc koło celi męża zapragnął zobaczyć Polaka, który śpiewa a raczej odważył się śpiewać swój hymn. Mąż pokazał mu gazetę i oświadczył że chce się bić z Niemcami. Wobec tego został odwieziony na Szubunię i zezwolono chłopcom iść do wojska. Wszyscy szli pieszo brnąc po pas w śniegu. Załączam zdjęcie męża. W takim ubraniu i taki wygłodniały wstępował w Tocku do wojska. Chłopi szli na ochotnika do zbawiennej Armii Andersa, który ich wybawił z tego syberyjskiego piekła. Mąż mój walczył pod Tobrukiem i Monte Cassino. Był odznaczony największymi odznaczeniami w Armii Andersa.

Nigdy, pomimo że był w Polsce niejednokrotnie aresztowany i prześladowany, pomimo terroru stalinowskiego, nigdy nie milczał. Wszystkim głośno mówił całą prawdę o Syberii. Gdy zmarł na zawał serca, pomimo że był zbawidowcem a był to 1978 r nawet na pogrzeb nie dano sztandaru., za to na pomniku ma wyryte gdzie walczył i jakie ma odznaczenia. Nie pochowany jest w alei zasłużonych, jeszcze tych czasów nie doczekał.

Z Sybiru ja z córką i teściową zostałam wywieziona do Kotłasa. Tam dano nam śniadanie i chleb. Stamtąd wyjechałam do Kirowa, na Świerdłowsk. Tam nas trzymali 4 dni i zawieźli do Buzułuku gdzie było nasze wojsko. Ludzie bardzo tam chorowali. Rosjanie zawieźli nas na pustynię, bo nie wiedzieli co z nami zrobić. Trzymali nas bez jedzenia. Tak wozili nas 3 miesiące, potem zawieźli nas do Taszkientu i Ałma-Aty, skąd pojechaliśmy do kołchozu.

Poszłam do Czerwonego Krzyża, powiedziałam, że mąż jest u boku Andersa i dostałam 1 kg chleba i 50 rubli. Za chlebem stało się w kolejce po 4 dni a jak się dostało to trzeba było pilnować aby nikt nie ukradł/

Na gapę pojechałam spotkać się z mężem do Otaru. Dostałam tam od wojska 200 rubli i suchary. Potem zgłosiłam się do sztabu, do Jangiejulu. Dziecko w tym czasie ciężko zachorowało lecz na szczęście w ruskim szpitalu był polski lekarz. Pracowałam ciężko w pralni. W lipcu do sztabu przyjechał gen Wł. Sikorski i biskup Gawlina, byłam na przysiedze.

Była wielka radość. Żołnierze chcieli się bić z Niemcami za Ojczyznę. Pamiętam piękne i budujące słowa gen. Wł. Sikorskiego, ludzie głośno płakali gdy on przemawiał. Potem pojechałam do Krasnowodzka, 15 sierpnia byłam w Pachlawi. Tam pamiętam dano nam tłustą zupę z nieboszczyków. Ja w talerzu zobaczyłam ludzkie ucho i od razu nie jadłam, dzięki temu żyję. Ta zupa moich przyjaciół zdziesiątkowała. Po tym otoczyli nas opieką Amerykanie. Wszy po nas chodziły, mieliśmy uszy poogryzane. Kazali nam się wykapać, dali nam czystą odzież.

W Persji spaliśmy w stajniach, na podłodze z kamieni. Potem okrętem płynęliśmy do Bombaju i Karaczi. Tam była 7 tygodni, mieszkaliśmy w namiotach, uszyto nam suknie z płótna. Jedliśmy w stołówce.

Mieliśmy opiekę lekarską. Przyjeżdżał do nas ksiądz z Karaczi, wieźli nas do Afryki, do portu Mombasa. Jechaliśmy 9 dni okrętem . potem pociągiem do Nairobi i stamtąd autobusem do Masindy. Mieszkaliśmy w szałasach pokrytych trzcina. Na głowie mieliśmy kapelusz z korka. Uciążliwe były „pchełki”, które wchodziły za paznokcie i pod podeszwy nóg. Chorowaliśmy na oczy. Moja ocalała córka uczęszczała do słynnej szkoły pod „Baobabem”. Można było ukończyć różne kursy – szycia, pielęgniarstwa, gotowania. Było kino i mieliśmy co jeść. Zaprzyjaźniliśmy się z murzynami, którzy byli dla nas bardzo dobrzy i życzliwi. Pomagali nam bardzo, znosili owoce. Kiedy wojna się skończyła postanowiłam powrócić do Polski pomimo tego, że nie musiałam.

Dzisiaj mogłam żyć w Kanadzie, czy USA lecz serce ciągnęło do Ojczyzny. Odbyłam długą podróż do Polski, do której po tułaczce przyjechałam w 1947 r. Mąż powrócił z Anglii w 1946 r. Osiedliliśmy się na Ziemiach Odzyskanych tęskniąc za pięknym Polesiem. Dostaliśmy stare budynki i 5 ha ziemi jako rekompensatę za Polesie, o ile można to tak nazwać.

Ciężko ponownie dorabialiśmy się od łyżki. Teraz mam skromną rentę i nawet żadnego dodatku za to, że mąż mój walczył u boku gen. Wł. Andersa. O ile kogoś moje życie zainteresuje to bardzo służę wszystkim i opowiem w detalach. Mam dużo dokumentów lecz są to pojedyncze egzemplarze i nie mogę ich przesłać. O podobnej wędrówce może opowiedzieć lecz odbytą inną trasą, moja starsza siostra Józefa Gaska. Każdemu zainteresowanemu w tej sprawie służę informacjami.

Łączę bardzo serdeczne pozdrowienia dla organizatorów konkursu.

Stanisława Czapnik 66-300 Międzyrzecz Wlkp ul. Armii Czerwonej 34

Woj. gorzowskie.

Motto – PS W trzeciej zwrotce piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino” śpiewa się – Że wolność krzyżami się mierzy. Historia zna ten jeden błąd!
Czas go naprawić!